Rok XVII. — Nr. 1. Styczeń 1909.



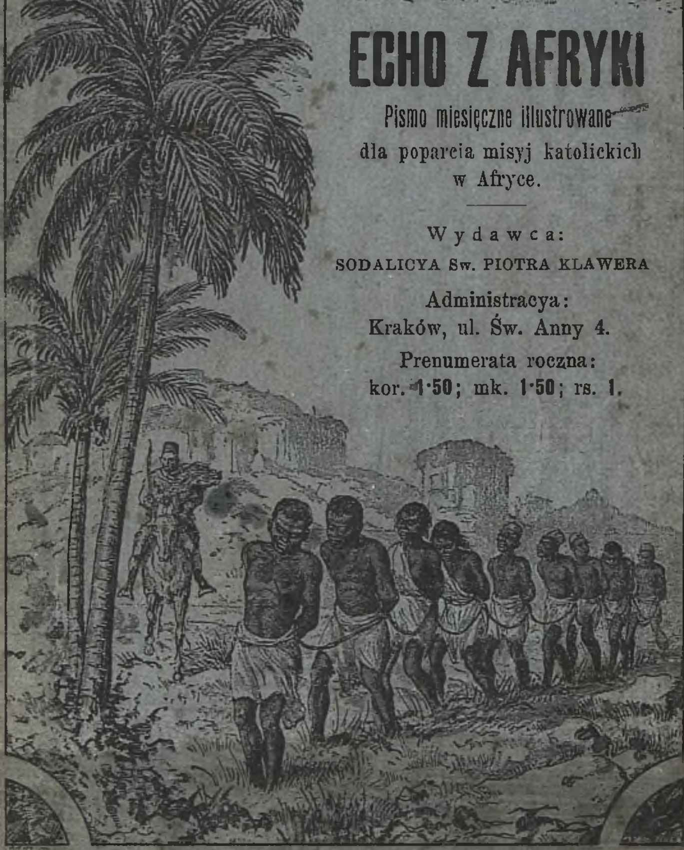
ECHO Z AFRYKI

Pismo miesięczne illustrowane
dla poparcia misyj katolickich
w Afryce.

Wydawca:
SODALICYA Św. PIOTRA KLAWERA

Administracya:
Kraków, ul. Św. Anny 4.

Prenumerata roczna:
kor. 1·50; mk. 1·50; rs. 1.



ECHO z AFRYKI

Pismo miesięczne illustrowane

dla popierania misyj katolickich w Afryce

wydawane

przez

Sodalicyę Św. Piotra Klawera.

Rocznik 1909 siedmnasty.

W KRAKOWIE.

CZCIONKAMI DRUKARNI »CZASU.«

1909.

Nakładem Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

SPIS RZECZY

w „Echu z Afryki“ w r. 1909.

Artykuły, wezwania, opowiadania i t. p.

KORESPONDENCYA MISYJNA.

Ojcowie Biali czyli misyonarze z Algieru.

Wikaryat ap. Nyanzy połudn.

Misya w Bugandzie.

Wikaryat ap. Nyanzy.

Ojcowie od Ducha Świętego.

Wik. ap. w Gabonie.

Wik. ap. Bagamoyo.

Misya w Kalabarze.

Misya w Agouleri.

Ojcowie Jezuici.

Wik. ap. środk. Madagaskaru.

Pref. ap. Zambezy.

Misya nad Dolną Zambezą.



ELIASZ - SEMINARZYSTA

ZE SZCZEPU GALLASÓW W HARARZE (ARRALLÉ).

Rok XVII. -- Nr. 1. Styczeń 1909.



Św. PIOTRZE KLAWERZE, Apostole murzynów, módl się za nami!

Echo z Afryki

Błogosławione przez I. Ś. Leona XIII i Piusa X.

Administracya: Kraków, ul. Św. Anny 4.

Prenumerata roczna: kor. 1·50; mk. 1·50; rb. 1.

W pierwszy wtorek każdego miesiąca odprawia się za żyjących i zmarłych prenumeratorów „Echa“ przez jednego z XX. Misyonarzy w Afryce Msza św. cicha.

„Nowy Rok bieży...“

Życzymy naszym Szanownym Czytelnikom, aby Im ten rok nadchodzący przyniósł niewyczerpane skarby wszelkich łask i błogosławieństwa Bożego.

Życzymy w imieniu własnem i w imieniu wdzięcznych nawróconych murzynów, którzy z całą gorącością ducha modlą się za swych *miłosiernych* Dobroczyńców, aby i oni, wszelkiego, jakiego pragną, *miłosierdzia dostąpili*.

Niechaj Pan raczy Was wszelkiem dobrem uszczęśliwić!

Sodalicya św. Piotra Klawera

dla misyj afrykańskich.

PIERWSZY CHRZEŚCIJANIN W MISYI NDALA

przez O. van der Wee'a, z Tow. Ojców Białych.

Z początkiem r. 1895, dwóch naszych Braci w objażdżce misyjnej zatrzymało się w stolicy Ndala. Jej królewska mość królowa tamtejsza Ntaleo, osoba nader swarliwego temperamentu, oddawała się z namiętnem upodobaniem tępieniu karawan przeciągających przez jej terytoryum. I wskutek jednego właśnie z takich usiłowanych zamachów, przyszło do wojny pomiędzy nią a wodzem Fabora. Wkońcu zajął wódz nawet jej rezydencyę, z której mieszkańcy wszyscy wynieśli się z pośpiechem. Z chwilą gdy kapitan Fabora wkroczył do stolicy, znalazł w niej królową samą, bezbronną, w towarzystwie jednej tylko niewolnicy. Jednakże ta zupełna bezbronność nie oszczędziła jej zasłużonej kary!... Zdaje się jednak, że takowa wyszła na zdrowie jej królewskiej mości, od tej pory bowiem jej wojownicze usposobienie łagodniało stopniowo, do tego stopnia, iż pełna najlepszych zamiarów, postanowiła powołać do swego kraju Europejczyków. Ponawiała nawet kilkakrotnie to swoje żądanie, prosząc usilnie podróżnych o poparcie i wstawienie się u Ojców przełożonych, aby ci wydelegowali misyonarzy do jej kraju. To też Msgr. Gerboin, uderzony tem wytrwałem naleganiem, postanowił zadość uczynić życzeniu jej czarnej królewskiej mości, skutkiem czego O. Müller i ja dostaliśmy polecenie założenia nowej fortecy chrześcijańskiej na jej terytoryum.

Jakkolwiek nas młodych misyonarzy przerażało zrazu to trudne zadanie, to jednak przyjęliśmy je ochotnie, ufając, iż Opatrzność dopełni tego, czego nie dostaje naszemu doświadczeniu i siłom. Wyjechaliśmy pod opieką Wikaryusza apostolskiego i przybyliśmy do stolicy Ndala wieczorem 8 stycznia 1896 r., po uciążliwej ośmiodniowej podróży.

Przybywszy, domagamy się ujrzenia królowej Ntaleo, lecz napróżno, dowiadujemy się bowiem, iż jej królewska mość udała się na ucztę „pombe“ (piwną), i powróci jutro lub pojutrze. Ustawiliśmy zatem nasze namioty i pogrążyli w krzepiącym śnie. Lecz nie liczyliśmy na wizytę hyen, które wkrótce obudziły nas i dotrzymywały z uporem towarzystwa, dopóki jeden z naszych tragarzy nie wypłoszył ich, zabijając jedną.

Nazajutrz rano odprawiwszy Mszę św. puściliśmy się na poszukiwanie królowej. Po półgodzinnem szukaniu znajdujemy jej królewską mość w otoczeniu dworu przed sześcioma olbrzymiemi stągwiami, (każda z nich mogła zawierać 50 ltr.) piwa, a były to tylko resztki wczorajszej pijatyki. Przyjęto nas z wielką gotowością, zaczem wymieniwszy zwyczajem uświę-

cone ukłony, przedłożyliśmy królowej powód i cel naszego przybycia, co zdaje się zadowolniło ją, gdyż poleciła nam obóz odpowiedniej siedziby, dodając, iż ostatnie pertraktacye co do tego, zatwierdzi po powrocie do stolicy, dokąd uda się tegoż jeszcze wieczoru. Rozpoczęliśmy zatem natychmiast poszukiwania i po półtoragodzinnej drodze przez lasy i bagna, trafiamy do wsi o nader korzystnem położeniu, otoczonej dość zwartem kołem dwudziestu innych większych i mniejszych wiosek. Według zdania naszego przewodnika nie moglibyśmy lepiej trafić, to też decydujemy się założyć naszą siedzibę w pobliżu tej miejscowości. Wieczorem rozpoczynamy na nowo pertraktacye z Ntaleo, i nie bez trudności uzyskaliśmy pozwolenie osiedlenia się o godzinę drogi od stolicy: „To za daleko — mówi stanowczo królowa — wolałabym was mieć bliżej.“ Wkońcu podarek obala jej upór i ostatecznie sprawa nasza korzystnie załatwiona.

Dzień 10 stycznia był radosnym dniem ufundowania nowej misyi pod nazwą św. Józefa z Ndala w Buhemeri, ku wielkiej uciesze królowej i całej ludności. W chwili naszego przybycia było Buhemeri największą wsią z całego kraju Ndala, tworzącą czworobok o boku 100 m. Obok niej trzy mniejsze zagrodzenia czworokątne stanowiły siedzibę wodza, jego synów i innych członków jego domu, prócz tego tu i ówdzie posiane samotne okrągłe chaty, wkońcu dwie duże sypialnie, jedna dla chłopców, druga dla dziewcząt, albowiem obyczaj kraju tego zabrania dzieciom od lat dziesięciu, sypiać w domu rodziców. Buhemeri liczyło naówczas 300 mieszkańców. Nazwa wsi tej pochodzi od jej założyciela „Muhemeri'ego“ (imię pochodzące od czasownika „Kuhemere“, co znaczy: „kupować żywność“). Naczelnik wsi, chociaż nieobecny w czasie naszej instalacyi, skoro tylko dowiedział się od swoich ludzi o naszem przybyciu, przyszedł natychmiast wyrazić nam swoją radość z tego powodu.

Maganga, bo tak go zwać będziemy, był wodzem, czyli naczelnikiem dwóch przez siebie założonych wsi, Buhemeri, i drugiej leżącej w królestwie Uymri, odległej o cztery godziny drogi od Buhemeri. Jest to człowiek średniego wzrostu, a siwiejące jego włosy zdradzały przeszło sześćdziesiątkę. Miał on dawniej kilka żon, lecz obecnie, w przeciwieństwie do innych wodzów, żył tylko z jedną w zgodzie i harmonii, wraz z bratową i trzema niewolnicami, pasącemi ich trzodę. Składała się ona już tylko co prawda z samych kóz, odkąd zaraza z r. 1893 powaliła im wszystkie woły. Dobroć Magangi zjednała mu szacunek i miłość wszystkich podwładnych, bo w istocie zacny to był człowiek, przystępny, zgodny i uczynny, o ile to było tylko w jego mocy. Przekonaliśmy się o tem wkrótce sami, z gotowości, z jaką oddawał nam różne usługi; skoro tylko do-

wiadywał się, iż brakuje nam czegokolwiek, wysilał się wprost, by nam tego dostarczyć: „Jeśli wam czegoś trzeba — mawiał zawsze — przyjdźcie do mnie, a ja wam dopomogę.“ Pewnego dnia przystąpił do nas z propozycyą: „Obok waszej siedziby stoi dom niezamieszkały, jeżeli chcecie, każę go naprawić, i może się wam przyda.“ Tegoż wieczoru jeszcze zwoływał ludzi: „Pójdźcie wszyscy, otynkujemy dom naszym Ojcom.“— O oznaczonej porze, mężczyźni, kobiety i dzieci prześcigiwali się w robocie około naprawy domostwa tak, iż po ukończonej pracy zacny Maganga czuł się w obowiązku uraczenia ich dwoma stągwiami piwa. Po skończonej robocie w polu, zwołuje znowu sam ludzi i każe im znosić drzewo i potrzebny materyał do budowy naszego domostwa. Dawał nam też szczodrze ze swego, bądź to znosząc pierwociny swoich zbiorów, bądź zasilając naszą trzodę; to znowu uczył nas języka miejscowego. Jednem słowem był nam dzielną pomocą i podporą, nas, podówczas młodych, niedoświadczonych misyonarzy.

Te jego wrodzone przymioty ułatwiały mu przystęp do naszej wiary św., i w istocie Maganga był jednym z pierwszych, którzy zaczęli uczęszczać na naukę katechizmu, odznaczał się wielką pilnością i gorliwie przestrzegał spoczynku niedzielnego. Codziennie przychodził do misyi, niosąc ze sobą mały stołeczek, na którym sadowił się obok Ojca, przewodnicząc z nim w modlitwach porannych i wieczornych. Większość poddanych widząc i budując się tym dobrym przykładem, przyjmowała ulegle udzielane jej nauki, stając się coraz godniejszą łaski, którą im niebo zsyłało.

Nadszedł miesiąc marzec. Postanowiliśmy w dniu uroczystości św. Józefa wznieść krzyż w środkowym punkcie miasta. Skoro się tylko o tym zamiarze dowiedział przyjaciel nasz, ofiarował się natychmiast dostarczyć potrzebnego materyału: „Na jednym z moich pól w Uymwi — rzekł — rośnie piękne, wysokie, proste drzewo, poślę natychmiast po nie moich ludzi.“ Rozkaz uskuteczniono z pośpiechem, i wniesiono tryumfalnie ściętego olbrzyma do misyi. My obciosaliśmy go tylko, nadając mu kształt majestatycznego krzyża, wysokości 9·50 m., który ustawiliśmy na oznaczonem miejscu 19 marca, w czasie pierwszych nieszporów na cześć św. Józefa. Darowaliśmy na ten dzień kilka kóz naszym szczodrym katechumenom, którzy wyprawili sobie z nich wesołą ucztę, tak, że cała wieś rozbrzmiewała radością!

Podczas świąt Wielkanocnych urządziliśmy uroczyste rozdanie medali św. najbardziej zasłużonym. Maganga był bohaterem dnia! Dostał on bowiem ze względu na swoją godność, zasługi i dobrą wolę specyalny medal, który zawiesiliśmy mu na szyi na mosiężnym łańcuchu. Radość staruszka nie miała granic, iż mógł czemś nareszcie zastąpić pogańskie amulety,

któremi się z takim upodobaniem obwieszał dawniej, a duma, z jaką ostentacyjnie chlubił się tym znakiem Wiary świętej, ściągała nań nieraz drwiny współziomków. Nie wiele sobie jednak z nich robił nasz staruszek, mając zawsze w pogotowiu odprawę nieco ostrą, lecz trafną i słuszną: „Jeśli wam to przyjemność sprawia — mawiał — możecie wyśmiewać się ze mnie, lecz dalekobyście rozsądniej czynili wykonując nauki Ojców.“ Zwierzchność stolicy, która nam ciągle nie mogła darować, że osiedliliśmy się w Buhemeri, zaczęła posądzać poczciwego Magangę o nieszczerą afektacyę religijną w celach praktycznych, dla wyłudzenia darów i celem uzyskania miru u podwładnych, kto wie nawet, czy zamiary starego wodza nie idą dalej i czy nie czycha on na obalenie ich władzy? Posypały się więc na Buhemeri podatki, nieustanne wymagania i przymusowe prace. Pewnej niedzieli, Maganga wzbrania się energicznie od wykonania narzuconej mu na dzień ten pracy, co wywołuje poruszenie w całym dworze. Wkońcu Ntaleo wraz ze swoją świtą przybywa do misyi, ażeby w naszej obecności zgromić winowajcę. Przekręcając zręcznie znaczenie naszych nauk, chciała zrazu pognębić go zarzutem nieposłuszeństwa: „Sami wasi Ojcowie nauczają, iż królów należy słuchać tak jak Boga.“ „Tak jest — odpowiada Maganga — należy się posłuszeństwo królom i przełożonym, lecz nie z uszczerbkiem posłuszeństwa należnego w pierwszym rzędzie Bogu, który zakazuje pracować w niedzielę. Każcie mi pracować we wszystkie inne dni, a będę wam posłusznym, lecz w niedzielę nie usłucham was. Wiecie dobrze, iż nie odmawiałem wam nigdy niczego i nie odmówię w przyszłości, byleby wymagania wasze były godziwe i bylebyście traktowali ze mną sprawiedliwie, na równi z innemi.“

Po długich korowodach doszło wkońcu do porozumienia wzajemnego, i nasz zacny przyjaciel wygrał swoją sprawę.

Upływał czas, a zbliżała się pora posuchy. Maganga porzucił nas i udał się do Uymwi na czas żniw. W sierpniu przysyła do nas jednego ze swych ludzi, zawiadamiając nas, iż jest chorym i prosi, byśmy go odwiedzili. O. Müller pospieszył doń natychmiast, a biedny wódz prosił go na wstępie, ażeby powrócił z nim do Buhemeri dla łatwiejszej pielęgnacyi, a zwłaszcza w razie pogorszenia, dla udzielenia mu chrztu św. „Bo — rzekł — pragnę umrzeć w waszej wierze, takiej dobrej i świętej, przez którą poznałem Boga.“ Nazajutrz chory powrócił do nas, a my widząc, iż stan jego istotnie się pogarsza, skracając czas przygotowania, ochrzciliśmy go dnia 10 sierpnia, dając mu imię Józef. „Jakże jestem szczęśliwy! — zawołał wtedy — jedno mam już tylko pragnienie, pójść do nieba.“

I dnia 30 sierpnia już zadośćuczynił Bóg jego życzeniu, powołując go do Siebie za wszystko dobre, które wyświadczył swoim bliźnim i zastępcom Jego na ziemi. Był to zaiste człowiek bogobojny i sprawiedliwy, czego dał ostatni jeszcze dowód, sprzeciwiając się energicznie obrządkom i gusłom pogańskim, które mu chciano aplikować podczas choroby! Obżałowaliśmy go szczerze i serdecznie. Bo pomijając ważne usługi, które mógł był oddawać jeszcze wierze naszej św., był on dla wszystkich swoich poddanych żywym przykładem dobrego, który tem silniej przemawiał do przekonania tych biednych ludzi, iż pochodził z góry. Bezwątpienia pobłogosławił Bóg pobożnym staraniom zmarłego, albowiem dzisiaj, wszyscy prawie mieszkańcy Buhemeri są już chrześcijanami, a grób jego położony na drodze ze wsi do cmentarza, przywodzi na pamięć przechodniom założyciela Buhemeri i pierwszego chrześcijanina misyi Ndala.

Drodzy Czytelnicy! Kończąc to krótkie opowiadanie, ośmielam się prosić was usilnie o modlitwę za naszych drogich murzynów i ich misyonarzy. Prośmy, ażeby moc łaski Bożej nawróciła biedne te dusze tonące w ciemnocie błędu i doprowadziła je do Wodza ich i Pana w królestwie niebieskim, do którego mają takie samo prawo jak i my.

KORESPONDENCYA MISYJNA.

Obfite owoce pracy misyjnej w południowej Nyanzie.

X. Biskup Hirth przesyła na ręce gener. kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera nader ciekawe sprawozdanie duszpasterskiej działalności, dokonanej w jego wikaryacie w ciągu roku 1907.

Niejednokrotnie chciałem pisać do Pani, ażeby wyrazić Jej całą wdzięczność, jaką winniśmy Jej wielkiemu dziełu miłosierdzia, my misyonarze i neofici naszego wikaryatu, lecz niestety, chęci nie zawsze odpowiadają możności!

Szczęśliwym się czuję, iż po naszych czcigodnych przełożonych, Pani pierwszej przesłać mogę sprawozdanie naszej działalności. Wikaryat nasz, który właśnie ukończył dwunasty rok istnienia, organizuje się stopniowo wewnętrznie. Liczba europejskich misyonarzy wynosi przeciętnie 74, licząc w to 6 Sióstr białych. Rozmieszczeni są w dwunastu stacyach głównych (centralnych), dookoła których grupują się coraz gęściej stacye uboczne. W roku bieżącym powstała również nowa misya, i jeżeli Bóg pozwoli, dwie inne prócz tego będą obsadzone w r. 1908. Liczba neofitów wzrosła do 1.754, w całości udzieliliśmy 3.281 chrztów, jest to bardzo niewiele w stosunku



ORKIESTRA W MALANDZE (Afryka wschoduia).

do naszych pragnień, lecz szczęście przynajmniej że o 600 więcej, niż w zeszłym roku. Jest to pocieszający objaw, zważywszy, iż większość stacyi rozpoczęła dopiero swoje działanie, a powtóre, biorąc w rachubę mnożące się trudności, które utrudniają nam nasze zadanie. Lecz pomimo to nietylko, że ilość wiernych wzrasta, liczymy ich dzisiaj 8.277, katechumenów 12 896, lecz i wiara ich zda się wzmagać w stosunku do doznawanych przeciwności. W r. 1906 liczba rozdanych Komunii św. wynosiła 77 323, tego roku wzrosła do 126 802, a jednak wielu chrześcijan dzieli znaczna przestrzeń od kościoła.

Przeciwnie, statystyka szkolna nie wykazuje dostatecznego postępu. Szkoły nasze odwiedza zaledwie do 2.000 uczniów, tylko o 200 więcej, aniżeli w roku zeszłym. Łatwo się to da tłomaczyć trudnością, jaką sprawia tutejszym rodzicom posyłanie dzieci do szkół wobec miejscowych stosunków. Naczelna władza miejscowa bowiem obarcza coraz ciężej lud tutejszy pracą przymusową i podatkami, tak, że biedacy zmuszeni są zaprzęgać swoje dzieci, nieraz nawet w bardzo młodym wieku do pracy i to nieraz ciężkiej.

Jednem z najważniejszych dzieł misyjnych są wykupy. Zdołaliśmy dokonać ich 33. Liczba ta nie odpowiada naturalnie nawet w części naszemu pragnieniu. Największem cierpieniem misyonarzy jest właśnie to, że nie mogą zaradzić wszystkiej nędzy i złemu, które widzą dookoła siebie. A i coraz więcej piętrzy się przed nami trudności od jakiegoś czasu. Przytem postępować musimy z największą rezerwą i ostrożnością, ażeby unikać zatargów z władzami.

Chorzy napływają też nieustannie do naszych szpitali tak, iż przesunęło się przez nie 89.815 ludności. Jest to jedno z najbardziej ubłogosławionych dzieł misyjnych przez Boga, pomnaża bowiem nieustannie liczbę wybranych, których w domu cierpienia najczęściej łaska Boża oczekuje. Szpitale nasze są jednak dotąd najprymitywniejsze, jakie sobie można wyobrazić.

Przybyła nam tego roku z konieczności nowa instytucya dobroczynna, bowiem choroba snu szerzy się i w naszym wikaryacie. Przyszła ona do nas z północy, z jeziora Nyanza, i sroży się na wschód i zachód jego wybrzeży, zwłaszcza dookoła placówek wojskowych. O 20 klm. od Maryenbergu, ustawiono baraki dla chorych dotkniętych tą chorobą; liczba ich obecnie wynosi około 400; misyonarze spędzają pomiędzy nimi regularnie po kilka dni w pewnych odstępach czasu, udzielając z radością pociech religijnych tym biednym ludziom, pomiędzy którymi wielu jest katechumenów.

Oto są, Pani Hrabino i dobrodziejko nasza, moralne pociechy, jakich podoba się dobremu Panu udzielać misyonarzom Swoim. Lecz w Swojej nieskończonej mądrości, we wszystkiem

zaznacza Opatrzność dobitnie, iż cokolwiek w Jej misyach dokonuje się dobrego, Jej tylko wszechmocy jest dziełem, albowiem prób, i zda się nieprzezwyciężonych trudności nie brak nam nigdy, tak, iż śmiało powiedzieć możemy, że pod tym względem coraz bardziej jesteśmy uprzywilejowani.

Najpierw już ta straszna choroba snu, która zagraża kilku miejscowościom naszego wikaryatu. Następnie wniknięcie do nas muzułmanów wszelkich odcieni i barw. Propagatorzy tej religii nie nauczają otwarcie tak, jak misyonarze katoliccy, lecz chociaż nauczają potajemnie, to jednak smutne odszczepieństwo rozszerza się raptownie. Najzagorzalszymi propagatorami tej sekty są najczęściej tajemnie płatni urzędnicy krajowcy, co jest nadużyciem ich stanowiska.

W ostatnich miesiącach protestanckie towarzystwo niemieckie, założyło również osady misyjne w Ruandzie celem propagowania reformowanego wyznania. Pastorzy ich wmawiają w ludność, iż mają za sobą poparcie rządu, który powołał ich do kraju! Lecz my będziemy się starać tylko mieć za sobą poparcie u Boga! Jest to już drugie z rzędu stowarzyszenie, które przysyła swoich pastorów do naszego wikaryatu.

Ostatnimi czasy, misyonarze nasi zdołali otworzyć szkołę językową w samej stolicy Ruandzie, dla krajowej młodzieży szlacheckiej, lecz w kraju, którego rząd popiera tylko wyłącznie szkoły tak zwane „bezstronne", jakiekolwiek inne nie mogą liczyć na powodzenie.

I jeszcze innego rodzaju klęski doznaliśmy w bieżącym roku, mianowicie w jednej z naszych głównych misyj wybuchł pożar, który zrównał z ziemią kaplicę, szkołę z całem jej urządzeniem i dom katechisty. Następnie misya Ussurvi wyludniła się na dłuższy przeciąg lat, albowiem wielu katolików i pogan padło ofiarą strasznej klęski głodu, która wybuchła z powodu braku deszczów; pomimo starań i wysiłków misya nasza nie zdołała wyratować wielu od śmierci głodowej.

Nie śmiem dłużej wyliczać Pani i dobrodziejce naszej, wszystkich trosk i potrzeb naszych, bo chociaż liczne są i naglące, są one udziałem zapewne i wszystkich innych misyonarzy. Pozwolę sobie tylko zwrócić powtórnie szczególną uwagę Pani, na kraj wyżyny Ruanda. Katolicy będą tam mieć wkrótce ośm ognisk misyjnych, lecz przytem zaledwie dwa kościoły. Tam to zdarzają się najliczniejsze wykupy i dwie trzecie dorocznych nawróceń. Jest tam jednak podobno jeszcze 2 miliony pogan czekających nawrócenia; poganie ci podlegają władcy, który dotychczas okazuje nam wiele tolerancyi, dałby Bóg, by takim pozostał i nadal.

Od daty ostatniego łaskawego listu Pani, 15 sierpnia, misyę naszą Maryenberg, odwiedził Jego Ekscelencya Sekr.

Dernburg, o którym wspominała Pani nawet w swoim liście i poprzednio odwiedził również misyę tę książę Meklenburski. Czynna działalność misyi Maryenberskiej śmiało mogła zwrócić na się uwagę specyalistów administracyjnych, z których zazwyczaj składają się poczty tego rodzaju wizytatorów. Katolików podziwem napełnia przedewszystkiem pełne zaparcia poświęcenie się, z jakiem Białe Siostry opiekują się młodzieżą obojga płci tej misyi. Pozwalam sobie polecić pamięci i miłosierdziu Pani te dzielne pomocnice na niwie naszej działalności.

Kończąc list mój, szanowna dobrodziejko nasza, proszę Boga, by raczył zlać jeszcze obfitsze źródło łask i błogosławieństwa Swojego, tak na osobę Pani, jak i na działalność waszej pobożnej Sodalicyi. Oby wzrastała i rozszerzała się nadal, tak, by podołać mogła w zaspokojeniu wszystkich potrzeb biednego kontynentu afrykańskiego.

W naszem seminaryum, do którego przybyłem na pewien czas, naszych 50 uczni odmawia codziennie specyalną modlitwę za dobrodziejów, którym zawdzięczają, iż mogli pójść za głosem swojego powołania.

J. Hirth,
z Kongregacyi Ojców Białych, Wik. ap. połudn. Nyanzy.

Katechiści w Cimbebazyi.

Stwierdzamy z radością, iż głos W. O. Nachtwey'a, Prefekta apostolskiego, nie przebrzmiał bez echa. Podajemy niniejsze sprawozdanie tegoż W. Ojca, traktujące o tej kwestyi.

„Echo z Afryki", które witamy z równem zawsze upodobaniem, udzieliło nam radosnej nowiny, iż kilku jego hojnych Czytelników wesprzeć chce naszych katechistów w Cimbebazyi, którzy mają nader doniosłe zadanie.

Bo o ile dzięki Bogu nie brak nam innego personalu, o tyle tem więcej brakuje nam dobrych katechistów, którzy stanowią łącznik pomiędzy nami a krajowcami. Protestanci utraciwszy monopol tej misyi, zdwajają gorliwe zabiegi, i jeżeli nie chcemy pozostać w tyle, potrzeba nam więcej, niż kiedykolwiek współdziałania zdolnych i sumiennych pomocników. Chociaż w teoryi głosiliśmy zawsze zasadę równouprawnienia i wolności nauczania tak dla misyj katolickich jak i protestanckich, to jednak w praktyce ograniczaliśmy się, o ile możności, idąc w tem za radą nieocenionego naszego poprzedniego gubernatora, do zakładania misyj w miejscowościach, w których nie było poprzednio protestantów. Zastosowaliśmy tę zasadę również i przy zakładaniu ostatniej

naszej misyi w Gobabis. Przełożonym jej jest W. O. Krein, który odznaczył się tak chwalebnie podczas wojny w r. 1903. Towarzyszy mu dzielnie pewien młody Bethuańczyk, rodem z Aminuis, leżącego w pobliżu pustyni Kalahari. Stamtąd to, poruszony łaską Bożą, udał się Kiba, bo tak zwał się przed Chrztem świętym, do misyi w Windhuk, gdzie go wychowano. I podczas gdy braciszek, szewc, wpajał w młodego poganina o bronzowem ciele, pierwsze podstawy swojego rzemiosła, równocześnie, na naukach wieczornych, zaznajamiał się Kiba z pierwszemi zasadami Wiary św. Wielkie prawdy św. naszej religii wrażały się głęboko w umysł i serce młodego katechumena. Nie mogę na tem miejscu rozpisywać się dłużej, jak łaska Boża krok za krokiem wprowadzała naszego Bethuańczyka na drogę modlitwy i pracy. Odkładam sobie tę przyjemność na później, bo z pewnością opowiadanie to zajmie i zbuduje Czytelników „Echa z Afryki".

Na Chrzcie św. otrzymał Kiba, według własnego żądania, imię wielkiego apostoła, św. Franciszka Ksawerego. Obecnie jako katechista, a zarazem i szewc, jest on prawą ręką W. O. Krein'a z Gobabis. Z listu, który Franciszek Kiba napisał do mnie 17 września 1907 r., a który niniejszem załączam, sami Czytelnicy „Echa" osądzą, jak dalece młodzieniec ten, liczący obecnie około 21 lat, odpowiada swojemu powołaniu, zalecając tem samem poparcie naszych katechistów.

„Czcigodny i drogi Ojcze Prefekcie. Przesyłam Ojcu wiadomości z naszej szkoły w Gobabisie. Robimy postępy pomimo zarzutów złych ludzi względem prawd naszej wiary. Napotykamy wszędzie trudności, lecz mamy nadzieję, że za pomocą łaski Bożej, i o ile nic nie przerwie naszej pracy, to zwyciężymy. Lecz musimy pracować bez przerwy, ażeby przeciwnicy nie mogli nas wyprzedzić i szkodzić naszemu dziełu. Podobno chcą się wkrótce osiedlić pomiędzy nami. Dotychczas Kafrowie przychodzili regularnie do szkoły, pomimo oszczerstw rozsiewanych przez krajowców heretyków. Niechaj Bóg raczy błogosławić Was, Wielebny Ojcze, i wysłucha modlitw, które zasyłacie do Niego przy Mszy św. za nawrócenie niewiernych i heretyków. Oczekuję odpowiedzi Ojca co do przedmiotów, o które prosiliśmy. (Chodzi tu mianowicie o fisharmonię, na której Franciszek Kiba nauczył się grać). Jeżeli Ojciec może, to prosiłbym o jak najprędsze przysłanie go nam. Mamy się dobrze, Ojciec Krein i ja, lecz zmuszony jestem donieść Ojcu, że zabraknie nam wkrótce żywności. Niechaj Bóg błogosławi Was, Ojcze. Pozdrawiam wszystkich Ojców i Braci.

Franciszek Ksawery Kiba Mokgoabon."

Pierwszy chrzest w Alakamisy.

W. O. Dantin, ze Zgrom. XX. Misyonarzy z la Salette, przesyła w liście swoim do Generalnej kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera wzruszający opis nowej misyi w Alakamisy. Podajemy go tutaj w całości ku zbudowaniu Czytelników naszych.

Szanowna Pani,

Proszę wybaczyć spóźnioną odpowiedź na jej list, lecz wielorakie zajęcia mojego powołania były tego powodem.

Pozwoli Pani, iż treścią dzisiejszego listu będą wyłącznie dzieje nowej naszej gminy Alakamisy. Jest to najmłodsza z 76-ciu naszych gmin chrześcijańskich, wchodzących w obręb naszego terytoryum, lecz może stać się z czasem jedną z pierwszych i ważniejszych, biorąc w rachubę ilość i gorliwość jej neofitów.

Alakamisy leży mniej więcej o jakie 25 klm. drogi północno-wschodniej od Betafo, w jednej z najludniejszych, lecz zarazem najbardziej wrogich wierze katolickiej okolic, tak, że po kilkorazowem usiłowaniu zaniechano na razie prób zaszczepienia chrystyanizmu w tym kraju.

W r. 1905 uczyniliśmy ostatni wysiłek stawiając kaplicę w centrum okolicy, w blizkości miejsca, gdzie się odbywały cotygodniowe targi. Zbudowaliśmy kapliczkę małą i bardzo skromną, częścią nie ufając w powodzenie naszego przedsięwzięcia, a częścią z braku funduszów. Z początkiem r. 1906 ukończyliśmy budowę kaplicy, poświęciliśmy ją i osiedliliśmy przy niej jednego z najzdolniejszych naszych katechistów, oddając w ręce Matki Bożej z la Salette powodzenie naszej sprawy. Lecz początki były ciężkie. Zaciętą prowadziliśmy zrazu walkę ze szwedzkimi protestantami, którzy gospodarowali tu niepodzielnie przeszło 30 lat! Bronili się też przed nami wszelkiemi siłami! Pastorzy ewangieliccy i ich katechiści dokładali wszelkich starań, ażeby nakłonić do powrotu owieczki, które od nich przeniosły się do nas zaraz na wstępie i ażeby przeszkodzić ucieczce innych. Dochodziło nawet o to do zatargów i gróźb podpalenia biednej naszej kapliczki i lichego schronienia naszego katechisty! Lecz dzięki Opatrzności i opiece Najśw. Panny z la Salette, wysiłki ich spełzły na niczem, i nietylko że zdołaliśmy utrzymać nasze pierwsze zdobycze, lecz i nowych przybywało nam powoli. To też do Wielkiejnocy 1906 roku liczba naszych zwolenników przekroczyła już cyfrę 150, nie wliczając w to dzieci. Zatem przyjęcie się chrześcijaństwa stało się faktem niezaprzeczonym!

Od samego początku pracowaliśmy gorliwie nad oświeceniem nowych adeptów. Dwa razy tygodniowo odbywały się nauki katechizmowe dla gorliwszych neofitów, a trzy razy na

tydzień dla dzieci. Po upływie roku wielu przyswoiło sobie wcale dobrze główne zasady naszej religii i prosiło nas usilnie o Chrzest św., lecz musieliśmy im tego odmówić, odkładając ich chrzest na później, stosując się w tem do życzeń naszego czcigodnego Wikaryusza apostolskiego, który żąda dwóch lat przygotowania przed przypuszczeniem do Chrztu św. Jednakże w zeszłym tygodniu upłynął właśnie ten wymagany czas próby dla pierwszych naszych adeptów, udałem się więc do Alakamisy, celem wyegzaminowania ich i ostatecznego przygotowania do tak upragnionego Chrztu św.!

Poświęciłem im tydzień na ćwiczenia pobożne i rekolekcye. Rozpoczynaliśmy dzień Mszą św., a następnie wypełnialiśmy go pięcioma naukami, a w przerwach modlitwą i śpiewami. Aż serce rosło patrząc na zapał i pobożność dzielnych naszych neofitów i na punktualność, z jaką przybywali na te święte ćwiczenia.

Kilkakrotnie jednak wytrwałość ich uległa ciężkiej próbie przez pojawienie się chmury szarańczy, pustoszącej doszczętnie zazwyczaj ich żyrowiska. Skoro tylko groźny wróg ten ukazywał się w postaci chmury tak gęstej, iż chwilowo zasłaniała sobą słońce, zwalniałem natychmiast moich katechumenów od ćwiczeń pobożnych, wysyłając ich dla odpędzenia szkodników. Uskuteczniają oni to, przebiegając w zwartych szeregach z krzykiem i hałasem miejsca zagrożone przez te szkodliwe owady, płosząc je w ten sposób, są one bowiem w stanie zniszczyć w okamgnieniu całoroczne plony. Załatwiwszy tę czynność, ludzie moi wracali pośpiesznie i zagłębiali się na nowo w milczeniu, modlitwie i skupieniu rekolekcyjnem.

Gdy nadszedł uroczysty dzień Chrztu św., 49 neofitów przygotowanych, o ile sił i możności, do odrodzenia się w Wierze świętej, zgromadziło się wspólnie, w odświętnem przybraniu, odziani wszyscy w najpiękniejsze swoje „lambasy". Towarzyszyli im liczni krewni i przyjaciele. Skromna kapliczka przybrała również odświętny wygląd. Wieńce, cięte gałęzie zdobiły ołtarz i kryły nagość ścian ziemnych i słomianej strzechy.

Uroczystość rozpoczęła sie Mszą św., podczas której śpiewano najpiękniejsze pieśni, poczem nastąpiła wyczerpująca nauka o znaczeniu modlitw i ceremonii Chrztu św. Wkońcu wybrani ustawiają się w szereg, mając u boku chrzestnych rodziców, dopełniam ostatecznego ich przygotowania krótką jeszcze egzortą o wielkiej doniosłości przyjmowanych na się zobowiązań, polegających na wyrzeczeniu się złego ducha, ażeby odtąd iść wiernie za Chrystusem Panem przez resztę dni żywota.

I oto spływa woda święcona po ich czołach, zwyciężając szatana, a przydając Kościołowi 49 nowych owieczek. Oby

zachowały żarliwość i podniosłość ducha dni rekolekcyjnych i dotrzymały na zawsze uroczystych przyrzeczeń danych na Chrzcie św., ażeby choć w części wynagrodzić Matce naszej, Kościołowi świętemu odszczepieństwo tylu marnotrawnych synów w naszej starej europejskiej ziemi.

Módlmy się o to i prośmy o modlitwy!

Raczy przyjąć Czcigodna Pani wyrazy głębokiej czci, poważania, a zarazem i wdzięczności z jaką kreślę się jej oddanym sługą w Chrystusie Panu.

O. Fr. Dantin.

P. S. Kapliczka w Alakamisy stała się o wiele za szczupłą i niewystarczającą dla dzisiejszych potrzeb tamtejszej gminy chrześcijańskiej. Jeśliby ktoś ze stałych naszych Czytelników chciał nam przyjść z pomocą do wzniesienia większej i bardziej odpowiadającej potrzebom dzisiejszym, bylibyśmy mu nad wyraz wdzięczni; dostąpi on niechybnie zapłaty tych, do których powie Pan w dniu sądu: „Pójdźcie błogosławieni Ojca mojego, albowiem byłem bez schronienia (w Alakamisy!) a przyjęliście mnie.“

Kronika Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

Filia w Krakowie. Dnia 26 listopada odbyło się pierwsze w tym roku zebranie zelatorek i przyjaciółek misyj, na którem przemówił X. Wnęk T. J. W pięknych słowach zaznaczył Czcig. Mowca, że praca dla misyj wypływa z wyraźnej woli Opatrzności. Tak jak ongi hufce niebieskie walczyły ze zbuntowanymi aniołami, mimo, że moc Boża mogła je sama pokonać, tak i dziś wzywa Pan Bóg pomocy ludzkiej dla ewangelizacyi pogan. Praca dla dobra dusz bliźnich błogosławione przynosi owoce, chociaż bez naszej wiedzy. Kościół św., który ma prawo czerpania z zasług Chrystusa Pana i obdarzenia niemi wiernych, udziela ich hojnie członkom Sodalicyi. Żeby być dobrodziejem misyj, niekoniecznie potrzeba być bogatym, ktoś biedny, na wzór wdowy ewangelicznej, może nietylko swoim skromnym groszem popierać rozrost misyj, ale może wypraszać powołania misyonarskie i siłę dla pracowników apostolskich i środki obfitsze ze strony bogatych. Gorące słowa wywarły głębokie wrażenie na słuchaczkach, które odeszły z postanowieniem modlitwy o dobro misyj, pomne na dewizę Sodalicyi: „z rzeczy Boskich najbardziej boską jest praca dla zbawienia dusz.“

ODCINEK.

BIEDNI NIEŚWIADOMI

przez O. Bächer'a, T. J.

Mam przed sobą maleńki zbiór przesądnych środków murzyńskich, nietylko przeciwko różnym chorobom, ale przeciwko wszystkiemu i na wszystko, co się im w ich społecznem życiu przytrafić może. Wielki szarlatan sporządza z ziół, drewienek, korzeni i innych obojętnych, a często także obrzydliwych rzeczy, szkaradną mieszaninę, której sam widok przejmuje wstrętem. Napełnia się nią róg gazelli i oto środek przeciwko złodziejom owoców. Szukający pomocy murzyn opłaca go całym swym tygodniowym zarobkiem i w łatwowierności swojej powraca uszczęśliwiony do domu, gdzie zawiesza cudowny rożek na korzeniu bananowym, albo patatów. „Tak, teraz nikt mi nie skradnie moich bananów, miałby się dopiero z pyszna!“ I w rzeczy samej, każdy rzetelnie pogański (a często i nie pogański) murzynek obawia się nawet przystąpić bliżej do podobnego czaru.

Komuś drugiemu daje mąż od leków rożek, wypełniony wstrętnem śmieciem, z zewnątrz wysmarowany smołą, w której tkwią zręcznie wciśnięte drobne paciorki szklane. Jest to prawdziwe „afiti“ przeciwko „marodza“ wszystkim urokom. Murzyn zawiesza je u swych drzwi (od wewnątrz) i teraz może spać spokojnie, jego nieprzyjaciele i zawistni nie zdolni mu już więcej szkodzić, bo gdyby nawet taki łotr podkradł się jak najciszej do jego drzwi, by zerwać znak zaklęcia i cisnąć go o ziemię, róg wychodzi ze stanu nieruchomości, przelatuje w powietrzu do śpiącego posiadacza i póty brzęczy mu w koło głowy, póki się ten nie zbudzi i złośliwego zaklinacza u samych swych drzwi nie przyłapie. Często zamiast wsypywać swoje „afitis“ do rożka, napełnia niem doktor czarów twardą powłokę jakiego pięknego rzadkiego chrząszcza — skuteczność przeciwko urokom jest ta sama. Również obrączka z korzeni, owita pięknie sznurami z paciorków szklanych, może chronić posiadacza przed „marodza“. Wskaże mu zawsze, w jakiem miejscu drogi zastawiono nań „marodza“. Wtedy trzeba się strzedz, by na nie nie stąpić, inaczej wywichnie się nogę, albo nabawi zagadkowej nieuleczalnej choroby, albo umrze w pewnym określonym czasie. Częściej jeszcze zaszywa się lekarstwo do okrągłych, lub podłużnych woreczków, obramowanych symetrycznie z obu stron rzędem paciorków szklanych, które się nosi zawieszone na sznurku u szyi. Wielu nosi podobne lekarstwa ukryte na sznurku u bioder, zwłaszcza,

że inaczej inni mogliby je łatwo zauważyć i użyć silniejszego przeciwśrodka. Czasam i ukrywają je także pod wpływem przyrodzonego uczucia wstydu, bo noszą często podobne środki czarodziejskie w najszkaradniejszych celach.

Niewinniejszemi są lekarstwa przeciwko chorobom ciała. Jeden owiązuje czoło sznurem paciorków z czterema drewienkami: to przepędza ból głowy. Drugi nosi swój sznur na szyi, na karku, w pasie, na biodrach — wtedy chroni on od bólu gardła, reumatyzmu i t. p. Przeto zaopatruje się sznur w dwa woreczki z lekarstwami, aby pozyskać sobie inne osoby, zwłaszcza drugiej płci. Ktoś drugi zawiesza sznur czarnoksiężki u przegubu ręki, jak naprzykład nasz zezowaty kuchcik. „Poco nosisz takie głupstwa?“ Na to pytanie, zadane w języku Kafrów, odpowiedział on po portugalsku: „Para fazer fortuna“ („Aby zrobić szczęście“). Zapewne przez bogate małżeństwo — zezowaty brudas!

Myśliwy, albo rybak, kupuje sobie za drogie pieniądze środeczek, aby mu nie mógł szkodzić ani lew, ani tygrys, aby nie utonął, lub nie został poszarpanym w wodzie przez krokodyla. Tak zaczarowani murzyni, ufając niezłomnie mocy swego lekarstwa, stają się wprost aż do szaleństwa zuchwałymi, podróżują sami nocą przez ciemne bory, kąpią się i łowią ryby w głębokich, rojących się od krokodyli wodach, nie lękając się wcale drapieżnych tych bestyj.

Biedni nieświadomi! Gdyby byli oni chrześcijanami i posiadali taką ufność w naszych świętych Sakramentach i sakramentaliach, ileż zasług dla nieba! Ale tak?!...

ODPUST ZUPEŁNY,

którego w styczniu dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

Dnia 6 stycznia, w uroczystość ŚŚ. Trzech Króli.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 15 listopada 1908.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: *Zofia Popielówna.*

W Krakowie. — Czcionkami drukarni „Czasu.“